



Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

2

— Tak, tak, sytuacji swojej dziś pewny jestem — nie tego się już lękam dla siebie, ale dowiedz się, księżno, że pomimo wszystkiego z innej strony i mnie i tobie grozi niebezpieczeństwo!

— Przerazasz mnie!

— Nie byłabyś sobą, gdybyś się lękać miała! A przecież sytuacja jest bardzo poważna, tu, w tym Paryżu, do którego wracasz z tryumfem, a ja czuję się już zabezpieczony, przed wspomnieniem przeszłości!...

— Mów, mów prędko, Mateuszu!

— Odpowiedz najpierw, czy pewnem jest, że mąż twój przybyć ma do Francji?

— Najpewniejsze! Wysłał mnie naprzód, aby poczynić pewne urządzenia, gdyż pragnie, aby córka jego, opuszczając Indye, choć pozorną w paryskim pałacu znalazła ojczyznę.

— Jego córka — zaśmiał się ironicznie Gewolski. — Jego córka! Życie dziwnie się niekiedy składa. Pomyśleć, że to ty właśnie wychowałaś ją, stałaś się prawie jej drugą matką!

— Skoro śmierć zabrała jej prawdziwą matkę — odpowiedziała księżna uśmiechając się przewrotnie. — Wydaje nam się, że idziemy za własną wolą, tymczasem najczęściej władą nami przeznaczenie. A więc to przyjazd mojego męża tak cię przeraża, mój przyjacielu?

— Gdyby to tylko było! Ale w tej chwili wierzę mi, Leono, znajdujemy się nad brzegiem strasznej przepaści.

— Ależ nareszcie mów, o co chodzi. Czy nie przekonałeś się już, że znieść mogę najgorsze.

— A więc ci powiem — rzekł po chwili Gewolski zmienionym głosem, a rysy jego przebiegły skurcz nerwowy — Piotr Lebomier jest w Paryżu!

— Przekleństwo — syknęła księżna.

Twarz jej, pomimo wielkiego panowania nad sobą, przyoblała się siną błądząścią.

— Mówiłeś mi jednak — zaczęła po chwili urywanym głosem — że choć nie miałeś odwagi pozbyć się go na zawsze, jesteśmy w zupełności zabezpieczeni od niego. Ze człowiek ten nigdy nie powróci do Paryża, i nigdy nie stanie na mojej drodze. Bo przecież, czy nie wysłałeś go w te ciemne, niespokojne morza, gdzie tak łatwo o zatonięcie okrętu! Ah! Mateuszu! ten przeklęty gad nie powinien chodzić po świecie!

— Masz słuszość — szepnął Gewolski — ale ja zawsze cofałem się przed ostatecznymi środkami — nie przez obawę przed popełnieniem samego zabójstwa, ale przez rodzaj przeczucia, że skoro raz zabiłbym, by dojść do celu — śmierć ta stałaby mi się właśnie przeszkodą!

— Ale teraz ten nędznik może nas odszukać i nie da się już oszukać. Dziś wieczór, gdy cię ujrzałam po raz pierwszy w salonie ministerstwa, stałeś do mnie zwrócony plecami, a jednak cię poznałam. — A ja, czy bardzo się zmieniłam?

— Jesteś jeszcze piękniejszą, niż dawniej!

— A on, czy postarał się przynajmniej zmienić swoją postać.

— Nie mam pojęcia, w jakiej skórze ukaże się nam teraz, dostrzegłem go tylko przelotnie, ale zawsze jest ten sam, o dziesięć tylko lat starszy.

— Ale musiałeś pójść za nim... dowiedzieć się, gdzie mieszka! I musiałeś już zapewne przedsięwziąć wszelkie kroki ostrożności, aby nie spotkał się z moim mężem i nie wydał mu naszej tajem-

nicy, którą zachował jedynie tylko dlatego, że wówczas liczył na twoją pomoc.

— Czego nie uczyniłem niegdyś — wyrzekł Gewolski, zaciskając gniewnie pięści — uczynię teraz... Stanie się to tej nocy... w tej chwili już pewnie się stało!

— Ale się nie narazisz, Mateuszu! Masz pewnych ludzi?

— Ludzie i środki są tak pewne, że nikomu na myśl nie przyjdzie poszukiwać trupa tam, gdzie mu zniknąć kazałem. Leono! będziesz wolną od wszelkiej obawy! Ale przyrzeknij mi w zamian, że dawna miłość nasza ożyje!

— Oddałabym ci życie!

— Dziękuję ci. Fatalność i przeznaczenie łączą nas, a są to więzy silniejsze od wszystkich! Jesteśmy mocni i odważni, zdobędziemy nasze szczęście! Ale oto dojeżdżamy już do pałacu! Muszę cię z przykrością opuścić. Do jutra, Leono!

— Do jutra, Mateuszu!

Gdy doktor Gewolski powrócił do swojej małej willi na ulicy Notre-Dame-des-Champs, gdzie mieściła się jego prywatna klinika, zastał syna, oczekującego go przy wejściu.

— Dlaczego nie przyszedłeś do ministerstwa? — zapytał sucho doktor.

— Pozostawiłem mi wolność na dziś wieczór, ojcze — odparł łagodnie syn, zrażony trochę chłodem ojca. — Wiesz, jak nie lubię wielkich zebrań.

— No, no, już dosyć, nic się wielkiego nie stało. Chciałem cię tylko przedstawić żonie.

Twarz Stanisława wyraziła zdumienie.

— Spotkałem ją niegdyś w Kalkucie, w czasie podróży mojej do Indyi — mówił Gewolski lekkim tonem — a że możliwem jest, że będziesz kiedyś w tamtych stronach, chciałem wprowadzić cię w stosunki, bardzo potrzebne młodemu człowiekowi. Ale niema nic straconego, księżna pozostaje jeszcze w Paryżu. No, a teraz idź spać!

Ale Stanisław nie odchodził i szedł pomału za ojcem do jego gabinetu.

Zdziwiło to Gewolskiego.

— Chcesz ze mną mówić, synku, pewnie zgrałeś się w karty?

— Mylisz się, ojcze. Nie tknąłem się od paru miesięcy kart, przynajmniej tak, jak ty to rozumiesz. Nigdy zresztą nie byłem wielkim graczem i światowcem, choć na oszczędność twoją nie mogę wcale narzekać. Życie spokojne, rodzinne, pociąga mnie więcej i wiem, że sprawiam ci temi słowami przykrość, mój ojcze, bo chciałbyś mnie widzieć sławnym i rozrywającym, jak ty jesteś. Ale, gdybym był poszedł tą drogą wielkości, stałbym się egoistą i...

— Czy ja jestem egoistą? — przerwał Gewolski.

— Ty jesteś wyjątkiem i doskonałością, ojcze, podczas gdy ja, przyznaję to, należę do słabych i kto wie, czy sława nie zawróciłaby mi znanadto głowy. A skoro, dzięki twojej hojności, nie jestem zmuszony wywalczać sobie karyery w świecie, chcę się poświęcić jednej tylko ambicji: miłości i miłością tą otoczyć cię, ojcze. Sam bym to może niezręcznie uczynił, jak już czynię, ale pomyśl, ojcze drogi, gdyby nas tak dwoje było do kochania siebie i gdyby dom twój...

— Dosyć, mój synu! — rzekł doktor, kładąc ciężko rękę na ramieniu Stanisława. — Wiem, że tego roku, zamiast być w Dinard, jak ci nakazałem, udałeś się do Saint-Lunaira i znalazłeś tam miłośćkę... jakąś dziewczynę bez znaczenia...

— To jest najmiłsza, najszlachetniejsza dziewczyna, ojcze!

— Bez frazesów z romansu, mój drogi. Chcę wierzyć, że ta panna Lusja jest zachwycająca i bezinteresowna. Ale co do rodziców! Jak się ma dwie córki bez grosza posagu, z których jedna pracuje w telefonach, a ojciec jest lichym podrybiaczem fałszywych obrazów...

— Ojczel! to kłamstwo!

— Proszę cię, wysłuchaj mnie do końca! Więc skoro rodzice pozwolili na twoje zbliżenie do dziewczyny, tem gorzej dla nich. Sądziłem, że chcesz z niej zrobić kochankę, ale żonę! o nie!

— Ojcze, mój ojcze — błagał Stanisław. — Rodzice tej panienki są najzaczniejsi ludźmi i dziś wieczór właśnie zapytywał mnie ojciec...

— Czy się z córką ożenisz. Nie, mój synu! Stanowczo nie! A teraz idź spać, bo późno.

Trup.

Sławny doktor Mateusz Gewolski był źródłem ciągłego zdumienia dla swojego młodego laboranta Antoniego. Dwa lata temu doktor w cudowny prawie sposób wyleczył go z niedobrej rany, zadanej nożem. Chłopak był już na śmierć przygotowany, gdy Gewolskiemu przyszła myśl wypróbować na nim swojej nowej metody leczenia radium i elektrycznością. W klinice, w której później leżał Antoni, wielkie uwielbienie dla mistrza spotęgniało jeszcze, bo jak tylko przyszedł cokolwiek do siły, Gewolski używał go do pomocy w pracy swojej, a już w parę miesięcy dał mu wielki dowód zaufania, bo oddał pod całkowitą jego pieczę laboratorium, do którego nikt obcy wstępu nie miał. W tem to laboratorium doktor Gewolski oddawał się z całą namietnością poszukiwaniom naukowym na trupach zwierząt, a niekiedy też na ludzkich trupach, dostarczanych mu w tajemniczy sposób z któregoś szpitala. I stało się, że pod wpływem silnych prądów elektrycznych i magnetycznych trupy te nabierały pozorów życia na chwilę, co utwierdzało zdumionego służącego w przekonaniu, że pan jego posiada w rękach władzę, silniejszą od śmierci. Ale z jedną rzeczą Antoni absolutnie pogodzić się nie mógł; doktor prawie nigdy nie sypiał, a zdrowie jego nie cierpiało na tem wcale. Wróciwszy około drugiej zazwyczaj z miasta, pracował jeszcze parę godzin i zaledwie na chwilę zasypiał nad ranem.

Zaledwie szósta godzina wybiła, gdy w ulicze rozległ się przyspieszony bieg automobilu i prawie natychmiast zatrzymał się przed pawilonem. Antoni wyszedł na spotkanie pana ze światłem, bo jesień już była późna, a dzień dopiero rozjaśniał się około godzinę ósmej.

— Będę dziś dłużej pracował — rzekł Gewolski, wchodząc do przedsionka — odpraw automobil.

— Jestem zadowolony z ciebie — zwrócił się po chwili do służącego, obejmując wzrokiem obszerną pracownię z wymyślnymi świeżo marmurowymi stolami, na których lśniły zdaleka ułożone symetrycznie narzędzia chirurgiczne.

Antoni skłonił się, uradowany z pochwały.

— Idź po dzienniki, zabawię tu dzisiaj dłużej, bo zdaje się, że będę zmuszony czekać na „niego“.

— Oho, to będziemy coś dobrego mieć w pracowni — zauważył służący, mrużąc znacząco oczy. — W takim razie lecę po dzienniki, a potem się ulotnię.

Było bowiem już dawniej umówionem, że kiedy ze szpitala przynoszono z wielkimi ostrożnościami trupa, służący miał się nie pokazywać ludziom, oddającym tę przysługę doktorowi i nie zadawać swemu panu żadnych pytań, co do pochodzenia zwłok. Antoni więc, pogwizdując, wybiegł szybko na ulicę, a Gewolski udał się do ostatniego pokoju w pawilonie, wychodzącym na puste i obszerne pola. Stał przy oknie i czekał. Za chwilę dobiegł go stłumiony, powolny turkot wozu i trzykrotne wołanie puhacza. W odpowiedzi doktor zagwizdał przeciągle. Cienie jakieś szybko przeszły pola, dzielące je od pawilonu. Niosły one długi ciężar, owinięty w czarne płótno.

— Zrobione? — zapytał Gewolski głosem, w którym przebiegał się niepokój i radość.